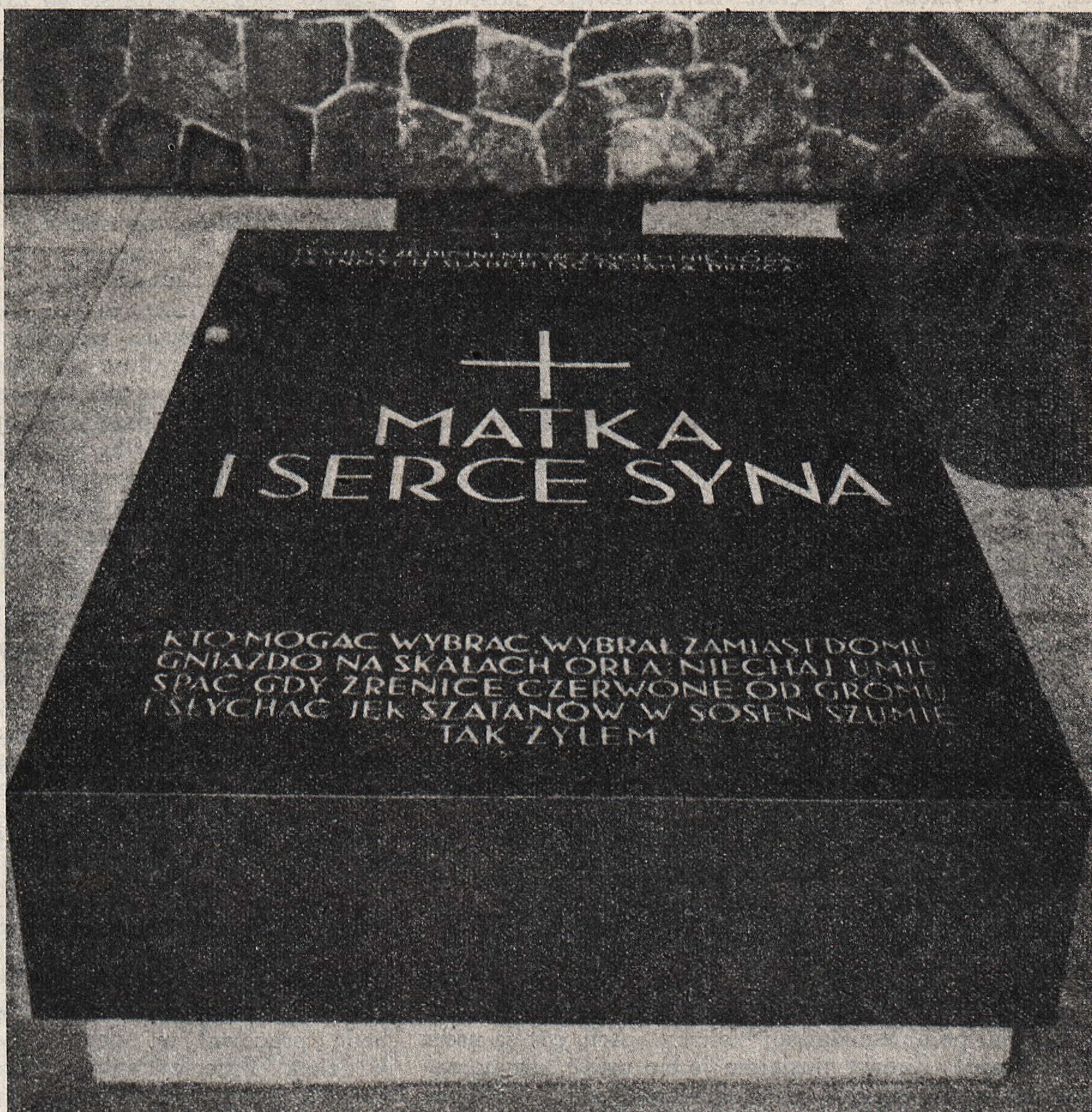
Gazeta dla Kobiet

Miesięcznik ilustrowany

Rok XXVIII | Czerwiec 1936 | Nr. 6



W dniu 12 maja 1936 roku w Wilnie na cmentarzu Rossa złożono u stóp Matki serce Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego

APOSTOLSTWO...

Z prawdziwego zdarzenia.

W Przewodnią niedzielę znalazłam się wśród gości, zaproszonych na Święcone Oddziału K. S. K. w jednej z podmiejskich wsi naszej diecezji.

Były tam zgromadzone członkinie Oddziału z mężami swymi, dziećmi i druchny z Oddziału K. S. M. żeńskiej.

Jak zwykle, ksiądz poświęcił dary Boże, poczem zasiedliśmy do biesiadnego stołu, a wtedy kapłan przemówił do zebranych, życząc nam pokoju Bożego. Złożono też sobie wzajemnie życzenia, dzieląc się święconem jajkiem, a dla gromady składając życzenia w ręce sołtysa.

Zabrano się następnie do spożywania święconego i zapanowała kłopotliwa cisza — ale na bardzo krótką chwilę, gdyż zupełnie niespodzianie zabrała głos jedna z członkiń, właśnie z tych najcichszych zwykle, taka nieśmiała, żeśmy jej głosu prawie wcale nie znały.

Popłynęło opowiadanie pełne prostoty i szczerości. Wszyscy biesiadnicy odłożyli widelce i słuchali z wielkiem zajęciem i wzruszeniem. Przeżyte bowiem, prawdziwe zdarzenia mają tak potężną siłę przekonywania, że zwyciężają wszelkie najmądrzejsze naukowe udowodnienia. Oto, opowiadanie:

— Takie miałam radosne te święta Wielkanocne, i taka byłam szczęśliwa, jak dawno nie pamiętam, a może i nigdy... I przekonałam się, jaką to wzniosłą sprawą jest apostolstwo. A było tak. Przy końcu zimy przyplątał się do nas taki Jasio, którego zewsząd wyganiali, bo się go wszyscy bali, bo pochodził z takiego najgorszego domu na przedmieściu, no poprostu mówiąc z domu złodziejskiego i bandyckiego. Jego dwie siostry są ulicznicami, a i o matce dobrze ludzie nie mówią. Jasio był bezroboczy, miał już 27 lat. Podobno był krótko w wojsku, ale i stamtąd go wyrzucili. Głodny, nędzny, obdarty, ot biedota. Czegoś mi się go żal zrobiło. Wzięłam go do noszenia wody i płaciłam mu 5 złotych miesięcznie i dawałam jeść często — gęsto. Kiedyśmy wszyscy w Wielkim Poście zaczęli się wybierać do spowiedzi, zapytałam Jasia, czy on chodzi do spowiedzi? Okazało się, że nietylko nie był nigdy, nibyto kiedyś raz, gdy był w wojsku, ale to mi się wydało mocno niepewne, — ale wcale nie umie pacierza... Co robić? Poszłam do księdza wikarego zapytać o radę. Kazał mi nauczyć go pacierza i katechizmu, co najważniejsze ustępy, no i przyprowadzić go w Wielką Środę do spowiedzi. Zaczęłam tedy wieczorami uczyć chłopaka, a że sama nie miałam dużo czasu, więc moje dzieci zabrały się do nauki, zwłaszcza moja mała Halinka. Aż biedactwo wypieków dostawało, tak się namęczyło zawsze z tym osobliwym uczniem. Nadszedł Wielki Tydzień. Zbliżała się środa. Chłopak powiada, że nie pójdzie do kościoła, bo nie ma w czem. Jakże? W takich łachmanach? Prawda. Tak nie można. A no, poszłam, kupiłam materjału za pieniądze, które mi dał mąż, no i siedziałam dwie noce i uszyłam mu ubranie. Jeszcze nigdy się tak nie naszyłam... aż mi się w oczach ćmiło i w głowie kręciło. Teraz trzeba było przymierzyć ubranie... Ba, ale znowu przeszkoda... Nie mógł chłopak zdjąć swoich łachów, bo nie miał pod niemi żadnej bielizny. Ach, cóż za nowe zmartwienie! Znowu musiałam jedno uszyć, drugie zabrać własnemu mężowi, no i ubrałam Jasia. Mało nie oszalał z radości. Powtarzał z rozczuleniem: „Ubranie, jakie śliczne ubranie!" Umiał już pacierz i trochę katechizmu, ale nie byłam pewna, czy rozumie, co to Komunja św. Nie mógł mi odpowiedzieć. A no, mówię, to taki mały opłatek, ale w nim jest Ktoś ukryty. A on na to: „Pewnie Matka Boska"...

I znowu musiałam późno w noc tłumaczyć i objaśniać, a przecie ja nie ksiądz, więc mi to łatwo nie szło. Ale nareszcie zrozumiał i był ogromnie tem przejęty i uradowany. Jakto, więc Pan Jezus przyjdzie do mnie? Do mnie biednego? Jak to być może?

Przez to wszystko, moja przedświąteczna praca domowa nie była tak zrobiona, jak należy, no i kosztowało nas to sporo, ale mąż nic nie narzekał, boć to przecie na ofiarę Panu Bogu. W środę zostawiłam sprzątanie dzieciom, a sama poszłam z Jasiem do kościoła. Wyspowiadałam się sama i poprosiłam księdza, żeby wyspowiadał chłopaka. Ksiądz kazał mu pójść z sobą do zakrystji. Ale on sam nie chciał za nic iść beze mnie i musiałam z nim pójść... Długo trwała ta spowiedź i musiałam niejedno niechcący posłyszeć. Odszedł od konfesjonału taki uradowany i szczęśliwy, jakim go nigdy dotychczas nie widziała. W Wielki Czwartek raniutko przybiegł i czekał na mnie, żeby ze mną pójść do Komunji św. Był zmieniony i okropnie mizerny. Co ci się stało? — Okazało się, że całą noc oka zmrużyć nie mógł z wielkiego wzruszenia, że będzie przyjmował samego Boga. Aż mi się go żal zrobiło, a równocześnie poczułam jego szczęście, jako swoje własne, bo to jakoś tak jest, że kiedy się komuś dobrze zrobi dla jego duszy, to się razem odczuwa całe to szczęście. No i poszliśmy, a chłopak trzymał się mnie, jak małe dziecko. Naśladował wszystkie moje ruchy i w ten sposób przystąpiliśmy do Stołu Pańskiego... Potem uklękliśmy w ławce, a gdy pomodliwszy się, chciałam wracać do domu i do mojej opuszczonej roboty, nie mogłam, bo Jasio, schowawszy twarz w ręce, tak się gorąco modlił, że przerwać mu nie śmiałam. Ta modlitwa jego trwała długo, bardzo długo...

Kiedy nareszcie wyszliśmy z kościoła, był taki szczęśliwy, taki radosny, że twarz mu jaśniała, jakby jakaś inna, jakaś piękniejsza, jakby już nie z tego świata.

Tu, mówczyni przerwała opowiadanie, otarła szybkim ruchem oczy i głos jej się załamał.

Pomógł jej własny jej mąż. — Proszę państwa, teraz dopiero nastąpi co najciekawsze w tej całej historji.

Po krótkiej przerwie uspokoiła się i ciągnęła dalej:

— Tak, teraz rzeczywiście najciekawsze. W oba święta chodził Jasio z nami do kościoła i choć mnie ludzie uprzedzali, że mi popsuje moich chłopaków, ale ja nie słuchałam tego i pozwalałam im z nim chodzić. Ale zaraz po świętach jakoś parę dni zeszło, a Jaś się nie pokazywał. Nareszcie przyszedł i opowiedział nam, że właśnie po świętach przysłał po niego sąsiad dalszy, rzeźnik-masarz i dał mu posadę!... Będzie mu płacił aż 10 złotych miesięcznie, a jedzenia będzie miał Jasio ile sam zechce. — Co za szczęście! To Pan Jezus mi tak dał. Taki jestem zadowolony i uradowany! Już nigdy nie będę głodny!

Widzą państwo, jak tu wyraźnie okazał Pan Jezus Swoją łaskę temu biednemu, opuszczonemu chłopakowi.

Ale, teraz nie było komu nosić nam wody. Jasio i na to znalazł radę.

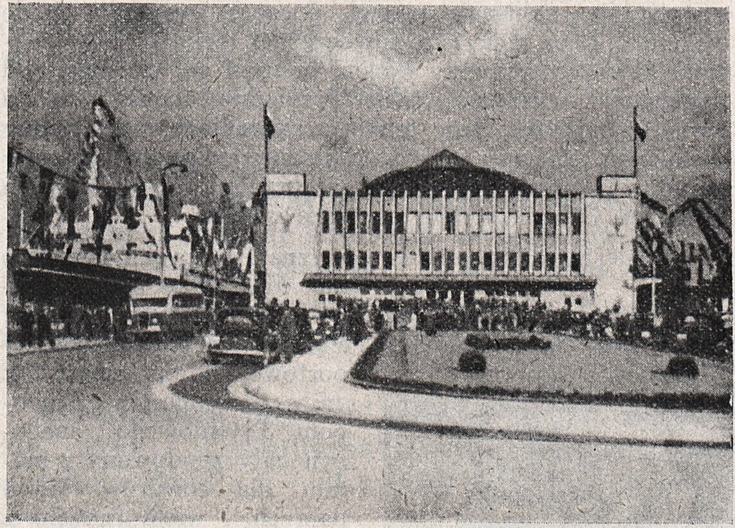
— Ja będę wodę nosił, jak dawniej, bo u rzeźnika będę pracował w nocy, a wodę przyniosę zawsze w dzień. Przecie Pani bez wody nie zostawię.

To proste opowiadanie wywarło na obecnych wielkie wrażenie. Zamyślili się wszyscy. Nawet druchny spoważniały i spoglądały przed siebie jakiemiś szklanemi oczyma. Musiałam jakoś przerwać to milczenie, boć przecie święcone powinno być wesołe...

— Dziękuję pani najserdeczniej, w imieniu wszystkich nas tu zebranych, nie za to, co pani uczyniła, bo za

DZIEŃ MORZA

Zbliża się dzień morza. I znów, jak co roku, z całej Polski pośpieszą przepełnione pociągi do Gdyni, wiozące ludzi spragnionych morza, kąpieli, plaży, słońca — którzy odetchnąwszy pełną piersią nad Bałtykiem po dwóch dniach powrócą do swego szarego, codziennego życia — by wspominać z westchnieniem, jakto tam było w Gdyni, na Helu, na Jastrzębiej Górze. Lecz czy wielu wśród tych wycieczkowiczów rozumie, że ten dzień morza ma głębsze znaczenie, że jest nietylko okazją do zniżki kolejowej i użycia wielu wrażeń w Gdyni, że on ma



Dworzec morski

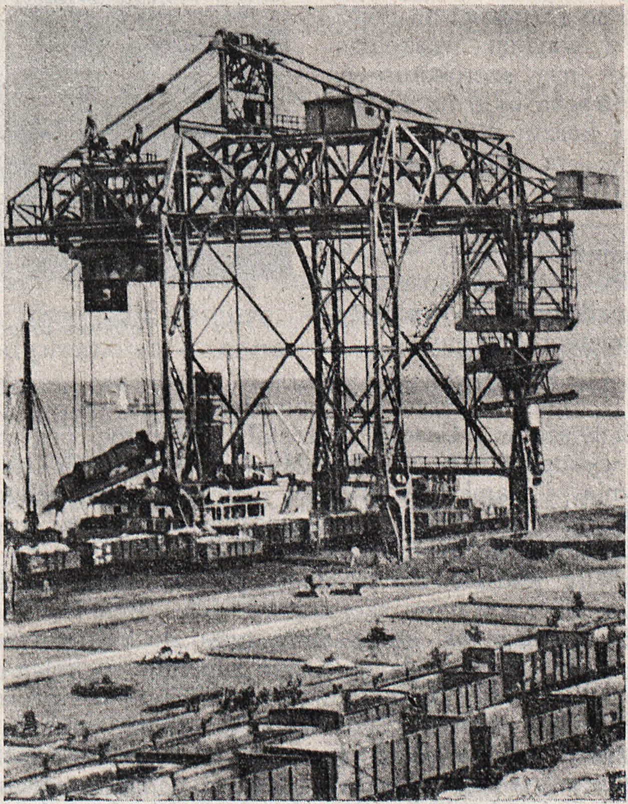
co roku silniej wiązać nas z morzem. Przed 18 laty, 10 lutego 1920 roku dotarły nasze zwycięskie wojska do Bałtyku, objęliśmy w posiadanie maleńki skrawek wybrzeża, bo zaledwie 144 km liczący — maleńki, ale jakże ważny dla nas, jak drogi każdemu polskiemu sercu. To maleńkie wybrzeże jest jakby furtką Polski na szeroki świat, posiadając je, posiadając swój własny port, jesteśmy niezależni od sąsiadów, możemy bez ich zgody i wiedzy prowadzić handel z najodleglejszemi krajami. Jest to wielkie uniezależnienie, ułatwienie i oszczędność dla Polski. Państwo tak wielkie i bogate jak Polska, bez dostępu do morza nie mogłoby istnieć i swobodnie się rozwijać. — Dzięki Bogu, każdy Polak dziś to już rozumie, lecz nietylko dziś; wyrazem tego zrozumienia były symboliczne zaślubiny Polski z morzem, dokonane przed 18 laty przez generała Józefa Hallera. Gdy wojska polskie objęły w posiadanie nasze wybrzeże, generał Haller, wśród licznego orszaku na oczach wojska wjechał w Pucku konno do morza i na znak wieczystych zaślubin Polski z Bałtykiem rzucił weń pierścień.

A potem ten wielki wysiłek gospodarczy Polski dla zbudowania Gdyni, naszego własnego portu, był też dowodem, że doceniamy znaczenie morza.

———

— Maćku, wytłumacz mi, proszę, dlaczego Polska mając prawo korzystania z portu w Gdańsku, nie żałowała ani pieniędzy, ani wysiłku i wybudowała w ciągu ostatnich 14 lat własny, ogromny port w Gdyni? Czyż nie lepiej było użyć tych pieniędzy na coś potrzebniejszego, jak na szkoły, na drogi, na regulację rzek, przecież tyle mamy gwałtownych jeszcze potrzeb w kraju.

— Zaraz ci to wyjaśnię, Haniu. Rzeczywiście po wielkiej wojnie traktat wersalski dawał nam prawo korzystania z portu gdańskiego i Polska z pełną dobrą wolą pragnęła z Gdańskiem współpracować. Tymczasem w 1920 r., w czasie najazdu bolszewików, w chwili, gdy przeżywaliśmy najgorsze czasy, gdy nasi ojcowie i bracia walczyli na froncie w obronie Ojczyzny i religji katolickiej — bo wiesz przecież, jak bolszewicy prześladują katolicyzm, przez Gdańsk przychodziły transporty broni i amunicji dla naszego wojska. I cóż się stało — Gdańszczanie odmówili przeładowywania tych transportów — ogłosili strejk. Polska znalazła się wtedy w krytycznem położeniu, bo nasi sąsiedzi też życzliwi nam nie byli. Czechosłowacja zabroniła przewozu transportów do Polski



Wywrotnica wagonowa

przez swój kraj, a z Niemcami były po wojnie tak złe stosunki, że nawet proponować im przewozu nie można było. Wtedy Pan Bóg nas wyratował; ale czy mamy się na przyszłość narażać na podobne niebezpieczeństwo — czy mamy ryzykować, by nasi żołnierze ginęli od kul i gazów nieprzyjacielskich bez możliwości obrony dlatego, że Gdańsk nie zechce nam może znów przeładowywać amunicji?

---

to nagrodzi Was Bóg na sądzie Swoim ... ale za to, że nam pani to zdarzenie opowiedziała tak szczerze i poprostu. Opowiadanie to jest dla nas o wiele lepszą nauką, niż najmądrzejsza książka, — bo to wzięte z życia i działo się na oczach wszystkich. Wszyscy sąsiedzi znają młodego złodziejaszka i znają panią. To nie żadna bajka, nie żadna legenda, ale przeżyta, przepracowana prawda!

Niechże to opowiadanie będzie zachętą dla wszystkich członkiń tego Oddziału. Daj Boże, żeby przy każdem święconem, czy opłatku, każda członkini mogła opowiedzieć coś podobnego z własnego życia, — i żeby każda z nas mogła mieć równie radosne święta.

Takie prawdziwe, najprawdziwsze: ALLELUJA!

Wanda z Kowerskich Drużbacka.

— Tak, to okropne — rozumiem, że Polska musiała się uniezależnić — i wybudowała Gdynię, ale, że w tak krótkim czasie dało się to zrobić!

— Historja Gdyni jest naprawdę ciekawa, porównać się ona może szybkością swego powstania tylko z miastami amerykańskiemi — i każdy Polak dumny z niej być może.

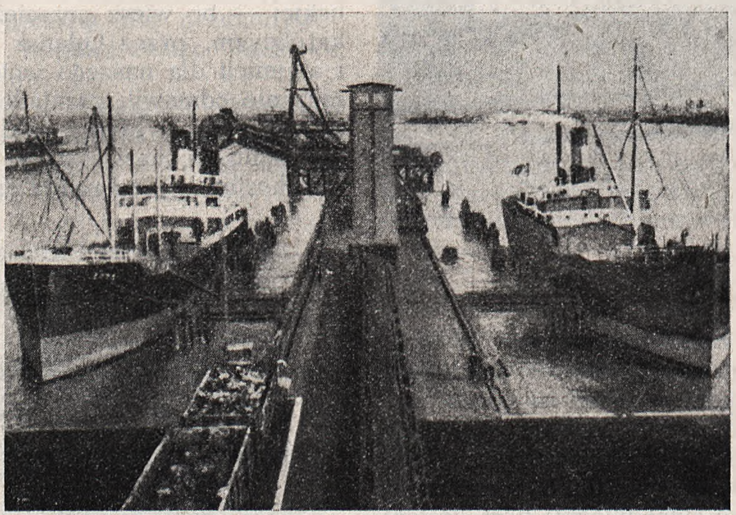
W 1922 roku Gdynia była jeszcze małą biedną wioszczyną nadmorską, między chatami rybaków wznosiło się parę pensjonatów dla letników, oraz domek SS. Miłosierdzia. Tam, gdzie dziś są najwspanialsze budynki, ciągnęły się łąki lub piaszczyste pólka. Dworzec był coprawda, lecz jaki? Nędzna drewniana buda. Gdy wycieczki szkolne dojeżdżały do Gdyni, trzeba było prosić kolejarza o pozwolenie złożenia plecaków i tobołków w jego prywatnym składziku na węgiel i drzewo, bo na dworcu nie było gdzie. Już w dwa lata później obraz Gdyni nieco się zmienił. Powstało, więcej will i hoteli, szczególnie w części letniskowej zwanej Kamienną Górą. Wybudowano skromny dworzec murowany, przeprowadzono jeden tor kolejki wąskotorowej nad morze w miejsce, gdzie rozpoczęto budowę portu, i w roku tym zawitał pierwszy statek z transportem węgla do Gdyni. Lecz jak to przeładowywanie wyglądało — dziś wierzyć nam się wprost nie chce, że to możliwe, a jednak od tej chwili minęło dopiero 12 lat. Robotnicy koszami wyładowywali węgiel ze statku na wagon wąskotorowy, a potem po raz drugi na dworcu z wagonu wąskotorowego na szerokotorowy. Ileż trzeba było na to trudu, i kosztu i czasu.

— A dziś, jak dziś wyglądu?

— Dziś mamy tam wspaniałe gmachy, hotele, banki, restauracje, urzędy rozmaite, państwowy instytut meteorologiczny.

— A port?...

— Port w Gdyni jest podzielony na szereg części czyli basenów. Baseny te zostały sztucznie pogłębione lub wykopane na miejscu dawnych bagnistych łąk pod Gdynią, i zamknięte molami. Molo jest to jakgdyby wielki mur wystający dość znacznie nad morze. Jedne mola są bardzo szerokie, tak, że mieszczą się na nich maszyny służące do przeładowywania statków i kilka torów dla pociągów szerokotorowych. Inne są wąskie, są to łamacze fal, które służą tylko do zatrzymywania fal, bo w porcie woda musi być zupełnie spokojna. Do wszystkich basenów handlowych i pasażerskich prowadzi jedno tylko wejście. Z dwóch jego stron wznoszą się wieżyczki ze światłem, lewa ma światło biało zielone, prawa czerwone, w nocy zdaleka je widać i marynarze kierując się niemi, bezpiecznie mogą wjeżdżać do portu bez obawy zaczepienia mola. Ale czasem może być mgła i wtedy światła są mało znaczne, i na to jest jednak rada. W pewnej odległości od wejścia znajduje się jakby rodzaj beczki czy wieży pływającej, która stale dzwoni, choć więc nawet świateł nie widać, głos dzwonu ostrzeże marynarzy o niebezpieczeństwie. Gdy statek zbliża się do portu, daje znak syreną (buczy) i wtedy kapitanat portu (dowództwo portu) wysyła po statek mały stateczek zwany pilotem, który doskonale zna port i dno i wprowadza przybyły statek. Po przejściu przez główne wejście statek kieruje się do odpowiedniego basenu. Najważniejsze baseny są: Prezydenta, gdzie wpływają statki pasażerskie; basen południowy, w którym jest przeznaczone specjalne miejsce dla ryb. Wznosi się tam chłodnia, czyli budynek, w którym sztucznie otrzymuje się niską temperaturę i w którym transporty ryb mogą spokojnie czekać bez obawy zepsucia. Dalej najważniejszy — basen węglowy. Tam na molo wznoszą się wspaniałe maszyny do przeładowywania węgla. Jedne z nich mają jakby olbrzymie szczypce-szufle, które zanurzają się w węglu podwiezionym przez pociąg, chwytają ten węgiel, przenoszą nad statek i wyrzucają go do wnętrza węglarki (statku). Inne tworzą jakby rodzaj taśmy z szuflami będącej w stałym ruchu, szufle te przesuwając się, nabierają węgiel, poczem wysypują go do węglarki. Lecz szczytem nowoczesnej techniki jest dźwignia, która chwyta cały wagon, podnosi go, przenosi nad węglarkę i wysypuje; takie przeładowywanie wagonu trwa $3^1/_2$ minuty. Przy takich urządzeniach nie możemy się dziwić, że gdy przed kilku laty ogłoszono międzynarodowy konkurs na szybkość przeładowywania węgla — nasza Gdynia wzięła pierwsze miejsce.



Taśmowe urządzenia do przeładunku węgla

Dalej mamy baseny wewnętrzne, z których I. nazwano im. Marszałka Piłsudskiego. Na wybrzeżu wznoszą się tam wielkie magazyny portowe, jak np. cukru, tak zw. „Cukroport", „Monopolu Tytoniowego", magazyn cały zbudowany z metalu dla towarów łatwo palnych, i wiele innych, z których najwspanialsza jest chłodnia — o pojemności 700 wagonów. Dzięki utrzymywanej tam niskiej temperaturze, towary łatwo psujące się mogą dłuższy czas czekać na dalszy transport. A dalej jeszcze wznoszą się łuszczarnia ryżu i olejarnia.

— A port wojenny — nic o nim nie mówisz?

— Bo port wojenny znajduje się u stóp Kępy Oksywskiej i ma osobne wejście, bez osobnego pozwolenia nie wolno tam wchodzić. Tam się mieszczą zabudowania naszej marynarki wojennej, tam stoją statki wojenne i łodzie podwodne. Chcąc się tam dostać, trzeba jechać z Gdyni właściwej 20 minut autobusem i objechać cały port, który dziś już głęboko wcina się w ląd. Jadąc tam po drodze zobaczyć można piękne gmachy Szkoły Morskiej, z której wychodzą oficerowie marynarki handlowej, dalej Szkoły handlu morskiego, a nieco dalej całą kolonję pięknych gmachów dla emigrantów.

— To Polacy wyjeżdżający do Francji lub Ameryki, lub wracający z niej, mogą tam mieszkać?

— Tak — dawniej musieli jechać przez Hamburg, port niemiecki, a nie znając języka, byli często oszukiwani i wyzyskiwani, teraz mogą już jechać przez Gdynię, gdzie wszystko jest w tym celu urządzone.

— Maćku, jak jabym chciała to wszystko zobaczyć — poznać!

— Dziś są coprawda ciężkie czasy, ale oszczędzaj, a może uda ci się, nie w tym, to w przyszłym roku pojechać na „Dzień morza" — a napewno nie będziesz tego żałować.

Zofja Lipkowska-Górska.

ZOSIA

Słońce chyliło się ku zachodowi, żar rozpalonych od słońca kamieni chodników palił wprost stopy, parno było jak przed burzą. Po chłodzie Jasnogórskiej świątyni owionął nas powiew upalny jak z chlebowego pieca. Pociąg pielgrzymki naszej odchodził dopiero za pięć godzin. Nie chciałam wracać z wszystkimi do restauracij dworcowej na wspólny przedodjazdowy posiłek, te godziny przeznaczyłam dla kogoś innego. Miałam tu wszak bliską koleżankę lat szkolnych, z którą stale korespondowałam, nie miałam jednak od dwudziestupięciu lat okazji przyjechać do Częstochowy, ani ona do Inowrocławia. Dom, dzieci, obowiązki, ciężkie czasy... Aż nareszcie pielgrzymka obiecana Najświętszej Panience za niemal cudowne wyleczenie męża, któremu groziła ślepota. Dopełniłam ślubu, szczęśliwa, z sercem pełnem wewnętrznej pociechy śpieszyłam do przyjaciółki wczesnej młodości.

Dwadzieścia pięć lat! Jakże może wyglądać moja „Czarnuszka", tak nazywałyśmy w szkole Alinkę? — Czy ma tyle siwych włosów co ja?

Pamiętałam dokładnie nazwę ulicy i numer domu. Szłam już tylko za wskazówką policjanta: na prawo, potem na lewo i druga przecznica na prawo.

Zatrzymałam się przed dużą ciemnopopielatą dwupiętrową kamienicą o dwóch półokrągłych bramach. „Mieszkanie 16-te" powtarzałam w myśli, nie mogąc już nic dojrzeć na ginącej w zmroku tablicy ze spisem lokatorów. — Wtem z podwórza wybiegła, może dwudziestoletnia podmalowana osóbka w mocno opiętej, o krótkich rękawach sukience, utlenionych bujnych włosach, na których trzepotał się jak motyl o szerokim rondzie bladoniebieski kapelusz.

— Przepraszam, panienko, bo nie widzę w spisie, gdzie to mieszkanie 16-te?

— Pani do nas?

Wymieniłam nazwisko.

— Ach wiem! Mama mi dużo mówiła — — żałuję naprawdę, że nie mogę wrócić — — mam terminowe wyjście — —

— Ależ nie krępuj się, dziecko, przepraszam, że tak mówię, ale z mamusią znamy się od trzydziestu lat. — Czy to Zosia?

— Tak, proszę pani. — — Mamusia bardzo się ucieszy — —

— Śpieszysz, nie zatrzymuję, ale wyjdźmy na światło, niech bodaj na ulicy zobaczę córkę mojej Alinki!

Zosia krygowała się nienaturalnie z grymasem, widocznie sztucznej wesołości zdając się coś ukrywać, ale mimo mocno wymalowanych ust i czarnej linijki podgolonych brwi, mimo pudru znać było zaczerwienione oczy, a pod sztucznym uśmiechem kryło się źle tajone wzburzenie. — Podprowadziła mnie do drzwi bocznej klatki schodowej, przepraszając jeszcze, że „musi" wyjść, bo na nią czekają.

Drewniane, zużyte schody odpowiadały całą gamą odgłosów za każdem mojem stąpnięciem, w powietrzu rozchodził się gryzący zapach mydlin i pralni.

Pierwsze piętro! Nie wysoko — ale przy mojej tuszy i po takiem zmęczeniu... — Zastukałam.

Przez uchylone drzwi wysunęła się przyprószona do połowy szronem siwizny głowa niemłodej, szczupłej kobiety.

— Pani do kogo? — spytała dziwnie matowym, bezdźwięcznym głosem.

— Nie poznajesz mnie, Alinko?

Zmęczona twarz kobieca ożywiła się nagle.

— Bronka! Skąd się tu wzięłaś?!

— Przyjechałam z pielgrzymką.

— Tak, czytałam, ale mi ani w myśli nie powstało, żebyś i ty z nimi była.

Opasała mnie para wątłych, drobnych kobiecych ramion tak serdecznie i czule — jak dawniej.

Zniknęło gdzieś dwadzieścia pięć lat życia. Zdawało mi się, że to wczoraj było!

Alinka prędko zdejmowała fartuch i chowała pośpiesznie mokrą od łez chusteczkę —

Wprowadziła mnie do ciasnego pokoiku. W rogu duże czarne mahoniowe lustro odbiło moją niezgrabną figurę. — „Ależ się roztyłam!" Przed pluszową kanapą stał stół pokryty również pluszową czerwoną serwetą, pamiętającą lepsze czasy naszej młodości.

— Siadaj, prosze cię, zaraz herbatę...

— Słuchaj, Alinko, daj pokój herbacie. Ja za kilka godzin odjeżdżam; głodna nie jestem, ale za to tak chcę z tobą pomówić! Pomyśl tyle lat, ćwierć wieku!

— Ależ — ja zaraz uszykuję. Zaczekaj — — nie trzymam służącej, ale ja prędko...

— Doprawdy, proszę cię, siadaj, o żadnej herbacie słyszeć nie chcę, tylko o tobie! Pomyśl, nie widziałam cię od czasu twej kuracji w Inowrocławiu! Ani nawet męża twego nie znałam. — Ty już dwa lata jak owdowiałaś?

Kiwnęła smutnie głową.

— Wiesz, że Zosię twoją spotkałam w bramie?

— Co ty mówisz? Skąd wiesz, że Zosia, przecież jej nie znasz?!

Gdy to mówiła rumieniec oblał jej biedną, zmęczoną twarz.

— Sama mi powiedziała, pytałam ją o numer waszego mieszkania. A Henio?

— Wyjechał do kolegi do Kielc.

— Wiesz, nie wiem doprawdy od czego zacząć, tyle lat!... Zmieniłyśmy się obie, ty coprawda jesteś tak szczupła, jak za swoich panieńskich lat, kiedyśmy się żegnały w Domu Kuracyjnym w naszem mieście.

Nowy rumieniec wymalował mapy na zniszczonej kobiecej twarzy.

— Wiesz co, Bronka, prawda, żeśmy się lata nie widziały, aleś mi zawsze była wierną przyjaciółką, choć w listach tylko — — co tu mówić o różnych obojętnych sprawach! Kto wie kiedy i czy się jeszcze zobaczymy — — — Przypomniałaś mi Inowrocław, tę tak ciężką chwilę mego życia i wiesz — — trafiłaś na podobną — — czarną godzinę. Nie wiem, może cię mi Bóg na pomoc zesłał w tej godzinie. Wysłuchaj więc mojej nędzy i bólu tak jak... dwadzieścia pięć lat temu. — Ty zawsze jesteś jednako dobra. Wiem to nietylko z twoich listów, ale z twych dobrych, współczujących oczów, które się też — — nie zmieniły.

— Ależ, Alinko, z całą radością i miłością cię słucham i w czem mogę i będę umiała postaram się dopomóc.

— Widziałaś moją Zosię, — podoba ci się? — No, powiedz szczerze, nie jestem w niej zaślepiona.

— Miła jest, ładniutka, tylko...

— Strasznie się maluje i ubiera. Przyznaj! Bądź szczera!

— Pewno, że taką młodą buzię szpecą te malowidła, zresztą jakiej nie szpecą, ale skoro ty tego nie lubisz...

— Ty myślisz że ona mnie słucha, albo uznaje? Jeszcze ojca, jak żył, bała się. Dziś — — robi co chce!

— Ale — — cóż ona teraz chce zrobić?

Alinka zakryła twarz rękoma, nie wytrzymała dłużej i wybuchnęła głośnym szlochem.

Gładziłam pokryte szronem siwizny włosy. Uspokajała się, opanowywała. Wstrząsnęła się jakby się wstydząc tego wybuchu żalu i bólu.

— Zosia, widzisz, ma narzeczonego, nawet dobry chłopak, ale posady nie ma. Obiecuje za dwa lata jak odbędzie praktykę biurową —

— No i — — ?

Kiedy mnie aż coś w gardle ściska — — nie — — nie mogę! Zagryzła do krwi wargi.

— Alinko!

— Ach okropność. Przypomniałaś mi tę naszą rozmowę — — tam — dwadzieścia pięć lat temu. Czemuż cię nie posłuchałam! Wiem, wiem, ja dziś za to płacę. — To — — za moje grzechy!

Znowu łzy jej odjęły mowę.

— Ach wstyd — — już, już — — minęło. Więc słuchaj. Ona mi dziś oświadczyła, że skoro dwa lata muszą czekać ze ślubem, to ze ślubem poczekają, ale z czem innem nie. Trudno, rzuciła mi w oczy, żeby najlepsze lata młodości tracić na czekaniu i — — poszła, zdaje się, do niego. — Powtórzyłam jej, wiesz, twoje z przed dwudziestu pięciu lat słowa, że on może się z nią nie ożenić, a jeżeli się ożeni wtedy zrozumie dopiero czem jest początek małżeństwa bez czystości ciała i duszy, jaką żona i matka ma położyć pod fundament miłości małżeńskiej i rodziny. A ona nic na to, wiesz co rzuciła przez ramię?

— A cóżto choćbym i miała nawet dziecko przed ślubem! Uważam, że to dziecko powinno mieć równe prawo do życia i wszystkiego: nazwiska, utrzymania! cóż ono winno, że się akurat wtedy a nie wtedy urodzi, a ja chcę mieć dziecko!

Rzuciłam się ku niej.

— Wstydu nie masz, Boga się nie boisz, ty nie wiesz, że swemu szczęściu grób kopiesz!

Wiesz co mi powiedziała?

— ?

— A mama była z ojcem szczęśliwa — mimo swoich zasad?!

Ona nie wie o tem, że Jaś, mój pierwszy synek, co umarł kiedy Zosia miała dwa lata, przyszedł — — w miesiąc po ślubie! — — Och, Bronko, jaką ty miałaś świętą, prawdziwie świętą rację gdyś mnie, jak ja dziś, moje dziecko, na klęczkach błagała, bym tego nie robiła. — —

Ty wiesz że nie byłam szczęśliwa!

Niech Bóg memu biednemu Władkowi odpuści, ale naszego powrotu od ślubu nie zapomnę!

On był dobry człowiek, ale jako mężczyzna nie mógł nigdy darować grzechu, choć sam był jego sprawcą i... niecierpiał Jasia.

Ja w mojem małżeństwie szłam po grobie mego szczęścia, które pogrzebałam na osiem miesięcy przed ślubem. — Dziś ona sobie ten grób kopie.

I ona może powiedziec, że dziecko zrodzone nie w małżeństwie, może mieć te same prawa i czuć się tak samo! Nigdy! Nigdy! Po sobie wiem, że nawet, gdy się urodzi po ślubie nie nie ma tych praw moralnych, jest stale chodzącym dowodem podeptanego prawa Bożego.

Ja wtedy — — mało się z Bogiem liczyłam, gdyś mnie ty Jego zaklinała imieniem. — Potem zrozumiałam, ale też niezupełnie. Nie miałam i późniei silnej wiary.

Męczyłam się, buntowałam, łamałam ze wstrętem do siebie samej, z tłumioną rozpaczą... Nie miałam sama zasad, nie umiałam ich dać memu dziecku...

Sama — — dopiero — — od trzech lat zaczynam naprawdę rozumieć co Bóg i życie Boże. — — Ja rozumiem, ale — — za późno! Może nie dla mnie, ale dla mojego dziecka! — Nie widziała we mnie zasad i przykładu i teraz— kiedy ty będziesz jechała koleją do domu, mnie reszta włosów posiwieje za hańbę mego dziecka! — — —

O, wierz mi, nie może być prawa ludzkiego, któreby to piętno zmazać mogło! Zmysły nie zastąpią czystości idącej w bieli do ślubu panny młodej, nie zetrą piętna z nieślubnego dziecka. —

Rozumiesz mnie, o ty mnie rozumiesz, właśnie ty! Ty wiesz, że moralnego prawa, żadne inne prawo nie przełamie.

— Bronko! — — Zachwiała się — chwyciłam ją wpół i posadziłam na fotelu. Spojrzały na mnie oczy pełne łez i wdzięczności.

— Nim weszłaś, — mówiła z wysiłkiem — wołałam do naszej cudownej Matuchny z Jasnej Góry, by ją wstrzymała. — — Poszła, widzisz — poszła! Dziś cuda się nie dzieją a jam ich zresztą niewarta!

Ręce mi opadły. I ja modliłam się teraz w duszy, ale słów mi brakło. Są bóle, na które słów niema.

Posłyszałam ciche przekręcanie klucza, a potem stukanie.

— Zosia — —! wracasz?! — —

— Wracam. Poszłam tylko kawałek alejami ku Jasnej Górze.

— Zosiu! Skończ proszę! — Wybacz, Bronko, ona szła coś ważnego załatwić. Chcę tylko wiedzieć czy załatwiła?

— Ależ proszę was, ja chętnie wyjdę do kuchni, porozmawiajcie.

— Nie, nie trzeba. Zosia mi tylko odpowie. Tak, czy nie -- Zosiu?

— Nie, mamo. Nie wiem dlaczego — nie mogłam tego zrobić, nie zdecydowałam się. Coś się stało, nie wiem co. Zrobię jak chciałaś, poczekam dwa lata na to... stanowisko.

— O posadzie mówicie? Panno Zosiu, lepiej dłużej poczekać nawet z waszą skromną emeryturą, a mieć odpowiednie stanowisko.

— Mamusia też nie chciała, żebym się marnowała.

— Ma pani, a raczej darujesz, że ci powiem Zosiu, masz bardzo, bardzo kochaną i dobrą matkę — — No, na mnie czas, cieszę się, że was widzę tak kochającemi się w waszym losie sierocym. Jesteś, Zosiu, jedynem, obok Henia, promieniem twej matki.

Ale, moja biedna Ala płakała cichutko z radości a Matka Boża Częstochowska z dużego, wiszącego na ścianie obrazu, oświetlona płomieniem pokrytej abażurem lampy, zdawała się tajemniczo uśmiechać.

Zosia przytuliła się do matki.

Ściskałam je serdecznie żegnając śpiesznie, choć czasu miałam dużo, ale te godziny powinny były być tylko ich.

Idąc wolno temi samemi ulicami ku dworcowi, rozważałam dziwne drogi Pańskie. Stanął mi w myśli, jak żywy, mały pokoik w Domu Kuracyjnym i nasza rozmowa — — dwóch młodych kobiet. Ja byłam młodą mężatką, Ala narzeczoną. Zwierzyła mi się z tego, że zamierza ulec prośbom narzeczonego. Pamiętam, że klęczałam przed nią, błagając na wszystko co ma świętego, by tego nie robiła. — Nie usłuchała — —

Zakończenie widziałam przed chwilą, — cudowne, bardziej cudowne niż ocalenie wzroku mego kochanego towarzysza, przyjaciela i męża.

Myśl moja pobiegła do mego domu. Jakże czystem jest moje gniazdo, jak innemi zasadami żyje moja młoda trójka! — Dziękowałam Bogu w duchu za tę łaskę jeszcze goręcej niż za tę, za którą podziękować przyjechałam.

Czysta rodzina... czyste małżeństwo... gdzieś to już słyszałam. Naraz stanęły mi w myśli dwa łacińskie słowa; „Casti connubii"*). Tak, to wielka prawda, i dziecko z czystego i prawego związku jest dopiero kwiatem szczęścia i nie wnosi z sobą ani na sobie piętna grzechu swych rodziców.

O Panie, czemuż Ci niedość dziękowałam za szczęście, jakie mi dałeś w czystem gnieździe mego domu!

Dochodziłam do dworca. Ołowiane chmury pokryły niebo. Dawno nadchodząca burza nadciągała z odgłosem dalekich jeszcze grzmotów.

Pierwsze ciężkie krople deszczu upadły na rozpalone kamienie chodnika. —

W duszy mej był dziwny pokój i cisza. Już od progu dworca witały mnie serdeczne pozdrowienia współtowarzyszów pielgrzymki.

S. M.

*) Są to pierwsze słowa encykliki Ojca św. o małżeństwie chrześcijańskiem, zaczynające się od słów „Nieskazitelnego (ciepłego) małżeństwa".... itd. „co po łacinie znaczy: „casti connubii".

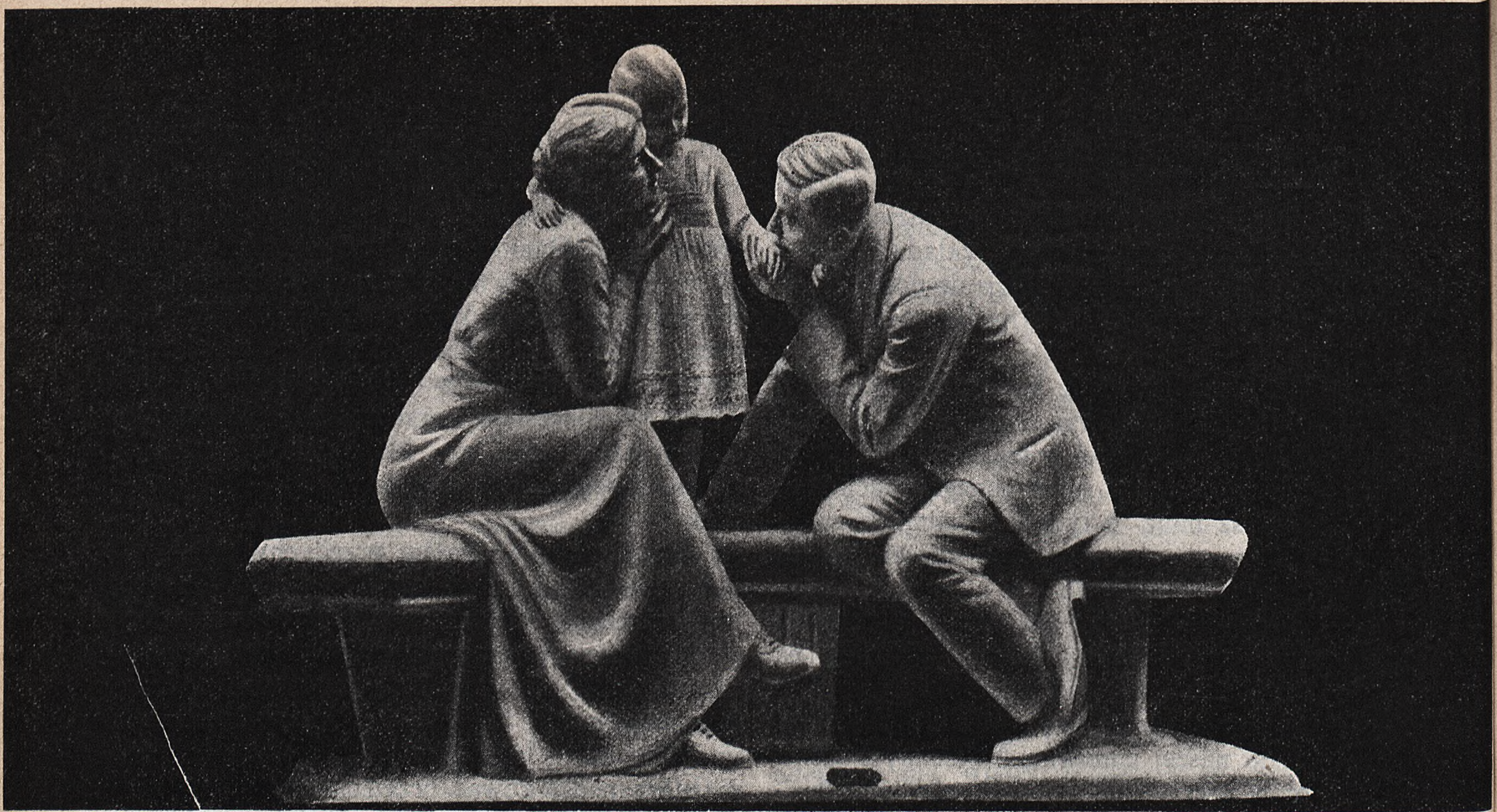
CZY TRZEBA SIĘ Z DZIEĆMI BAWIĆ?

„Gdy mi kto zadaje to pytanie: czy trzeba się z dziećmi bawić, odpowiadam: a co pani rozumie pod nazwą zabawa?

Zabawa — znaczy dla dorosłego — przyjemność, oderwanie się od codziennej pracy, — jak to teraz mówią: „odprężenie", — albo oddalenie się od niezawsze przyjemnego obowiązku.

Dla dziecka — zabawa znaczy co innego. Więc co pani ma na myśli? — A zresztą, — w jakim wieku jest dziecko pani? — Każdy wiek inaczej rozumie zabawę.

— Dzieci moje w rozmaitym są wieku: zaczyna się od 10 miesięcy, jest potem 3 letnie, 5 letnie, 8 letnie i 12 letnie. Oprócz tego są dzieci sąsiadki, które się z mojemi bawią.



— O, to śliczna gromadka. W takiej gromadce bywa najlepsza szkoła życia, bo tu się usposobienia nawzajem szlifują, czyli że dzieci uczą się mieć wzgląd jedno na drugie, widzą rozmaitość upodobań innych ludzi, a wreszcie dopełniają się wzajemnie umiejętnością albo zdolnościami. Tylko — taka gromadka wymaga dużo zastanowienia ze strony rodziców.

— Oczywiście, ale mamy do pomocy rodzeństwo męża i moje, a w dodatku nasze matki często przychodzą do nas.

— Winszuję pani, to wielkie dla pani szczęście mieć taką pomoc.

— Ale pomimo tego, często nie wiemy jak zająć dzieci.

— W takim razie, powiem pani to, czego mnie nauczyła bardzo mądra osoba:

Dziecko — to stworzenie, które potrzebuje dużo ruchu, ażeby zdrowo wyrastać, rozwijać się, dobrze trawić, wzmacniać muszkuły; trzeba więc dziecku dopomóc w jego dążeniu a nie przeszkadzać jego chęciom.

Następnie dziecko chce wszystko poznać, — to odpowiada potrzebie jego duszy, — ono w ten sposób uczy się do czego służą rzeczy, i jacy są ludzie, — a przytem uczy się myśleć. W tem należy mu także dopomóc.

Wreszcie dziecko szuka instynktownie życzliwości wkoło siebie, od otoczenia całego; należy więc mu je okazywać przez rozumną dobroć.

Gdy rodzice pamiętają o tych trzech potrzebach dziecka i starają się im odpowiedzieć, to się różne zajęcia i zabawy same nasuwają według okoliczności.

Ale rodzice nie mają obowiązku dużo i często się z dzieckiem bawić. Powinni tylko podsunąć mu od czasu do czasu myśl, ażeby nie przestawało być zajęte, i dbać, ażeby dziecku nikt nie przerywał zajęcia bez koniecznej potrzeby.

Pozatem, ważnem jest, ażeby rodzice oboje znali kilka gier, i ażeby się czasem z dziećmi zabawiali wspólnie. Na tem polega bowiem współżycie rodzinne, ażeby była dana możność rozmowy wzajemnego poznania się, co przy wspólnej pracy jest nieraz bardzo utrudnione, a również i przy posiłkach bywa prawie niemożliwe.

Przez to, że gry budzą uczucia przyjemności, radości, swobody, są one najlepszą sposobnością rozwijania zdrowych uczuć rodzinnych, czyli pokochania, przywiązania wzajemnego, i dbania jednych o drugich.

Dziecko, które ich doznaje w domu, jest nietylko szczęśliwe, ale rozwija się prędzej i lepiej, co dla całej jego przyszłości jest bardzo ważne.

Tylko, niestety, niema dużo rodzin, gdzieby rodzice oboje rozumieli potrzebę rozmawiania z dziećmi, — a przez to stracone są dla dzieci te wartości, które ojciec wnosi do wychowania, i do szczęścia rodziny...

— O, to prawda. Sama widzę, że dzieci uważają, że tylko wtedy doznają miłości od rodziców, kiedy rodzice poświęcają coś ze swego czasu na przebywanie z niemi i na wspólną zabawę. A gdy tego niema, myślą w duszy: nie jestem wart odżałowania ani kwadransu czasu.

— Moja pani, a co pani mówi na takie zdanie: najlepiej dzieci wysyłać do kina, a mieć samemu święty spokój.

— Tak, to się często słyszy w mieście.

— A jak się pani na to zapatruje?

— Mojem zdaniem, kino — to szkoła „naodwrót".

— Co pani przez to rozumie?

— Naprzykład to: że się tam w żywem przedstawieniu wykazuje: jak się mścić, jak kraść, jak oszukiwać, — a to działa o wiele silniej na dzieci aniżeli napomnienia starszych do nauki, do cierpliwości, do posłuszeństwa, do dobroci...

— A co pani sądzi o grach urządzanych przez Stowarzyszenie Młodzieży? Czy to strata czasu?

— Tak, słyszałam, ale nie wiem.

— A czy pani wie, co mają na celu?

— Niebardzo.

— Więc, proszę pani, mają to na celu, ażeby młodzież, — tj. przyszli ojcowie i przyszłe matki, — poznała sposoby towarzyskiego współżycia, czyli godziwego użycia swobody i wesołości, czego się już w domu nikt teraz nie uczy.

— Tak, szkoda. Większość mężów np. nie wie jak spędzić czas w dni wolne od zajęcia.

— A tego się trzeba uczyć jeszcze przed ożenieniem. Mogłoby więc być lepiej niż teraz jest, któż zaprzeczy?

Bronisława.

RODZEŃSTWO — KREWNI

„A Bóg cierpliwości i pociechy niech wam da, abyście jedno między sobą rozumieli według Jezusa Chrystusa."
(Rzym. XV, 5)

Jeśli bezinteresowne uczucie macierzyńskie uznane jest naogół za jedno z najszlachetniejszych uczuć ludzkich, to zaraz po niem trzeba umieścić uczucia braterskie i siostrzane. Wiemy, że Chrystus wielokrotnie nakazywał ludziom, by każdego z bliźnich — bogatego czy biednego, przyjaciela czy wroga — uważali za brata, a więc tem samem wywyższył uczucia braterskie ponad inne. Widzimy, że w zgromadzeniach zakonnych, Bogu poświęconych, członkowie obierają sobie, jako jeden ze środków dojścia do doskonałości — wspólne braterstwo; widzimy też, że wśród przyjaciół lub kolegów, niedawno sobie obcych, — za szczyt przyjaźni uchodzi: uważać drugiego towarzysza za brata. Tak samo, w chwilach uroczystych, ludzie i narody — wprowadzają często zbratanie się ze sobą, nawet — obok wolności — braterstwo wypisują na sztandarze (inna rzecz, że to jest często jedynie pustym dźwiękiem, frazesem, którego owi ludzie nie stosują w życiu).

A więc uczucie braterskie, stosunek braterski czy siostrzany — to rzecz wielka, nawet między obcymi, — a cóż dopiero, gdy chodzi o rodzonych braci i siostry w jednem środowisku rodzinnem: mają oni wspólnych rodziców, podobne warunki wychowania, to samo ognisko domowe; podobnie najczęściej spędzają dzieciństwo i młodość — słowem, mnóstwo przeżyć i wspomnień wspólnych łączy ich, powinnyby więc więzy owe trwać nadal, przez całe życie, pomimo nieraz rozłąki czy odmiennych warunków bytowania.

W rodzinie katolickiej — po rodzicach i dziadkach — mamy pierwsze obowiązki względem swego rodzeństwa. W rodzinach, gdzie dużo potomstwa, widzi się, jak starsze rodzeństwo samo z siebie opiekuje się młodszem, co jest dla dzieci niezastąpioną szkołą życia, bo uczy je taktu, sprawiedliwości i cierpliwości. Potem, dorosła już siostra trochę po macierzyńsku dba o brata, — nietylko o jego posiłek i ubranie, lecz i o to, czy chodzi on do kościoła i do Sakramentów świętych, i o to, w jakich towarzystwach przebywa i jak się prowadzi; interesuje się ona jego pracą, dzieli radości i smutki. A brat nawzajem wywdzięcza się siostrze silnem ramieniem, rycerską opieką i pomocą w każdej trudności, a już szczególnie staje w obronie wobec jakichkolwiek zasadzek czy napaści na jej cześć. Nic dziwnego, że w takiej, po Bożemu żyjącej, rodzinie panuje pokój, zgoda i miłość wzajemna, trwające na całe późniejsze życie, — lecz, niestety, rodzin takich mamy niewiele!

Najczęściej spotykamy, że rodzeństwo już jako dzieci, kłóci się między sobą: chłopcy dokuczają niemiłosiernie siostrom, a te nie lubią i wyśmiewają braci. Prawda, że temi dziecinnemi wybrykami przejmować się zbytnio nie należy, bo to przeminie z wiekiem, choć, naturalnie, rodzice nie powinni pozwalać, aby młodsze dzieci krzywdzone były przez starsze rodzeństwo. Gorzej bywa jeszcze, gdy dorosłe siostry i bracia żyją ze sobą, „jak pies z kotem", a każde o sobie tylko myśli; źle, gdy między rodzeństwem są kłótnie, bójki, a często zazdrość i niechęć wzajemna. Potem, gdy ich życie rozdzieli, nie czują się sobie wcale bliskimi; dzieci zaś takich obojętnych braci i sióstr wyrastają już sobie zupełnie obce.

Szczera katoliczka i katolik mają mocno ugruntowane w sercach zasady swej wiary i nigdy nie posłuchają podszeptów złego ducha, co stara się ich w rodzinie wszelkimi sposobami skłócić ze sobą, aby ich łatwiej potem zwalczyć. To tak, jak w owej bajce: ojciec, polecając synom przed śmiercią, aby się kochali, kazał im dla przykładu przynieść kije, związane razem; żaden z synów nie mógł wiązki tej złamać, gdy tymczasem każdy kijek zosobna łatwo połamał. To też w interesie moralnym i materjalnym każdej rodziny jest skupiać się razem we wszelkiej godziwej sprawie, o sobie wzajemnie pamiętać, opieką darzyć słabszych, biedniejszych lub opuszczonych. Powinno się także odszukiwać swych krewnych, nawet i dalszych, a przedewszystkiem — potrzebujących pomocy. Najbliższą przyjaciółką niech będzie siostra — siostrze, a brat — bratu; dzieciom ich należy się również jak najserdeczniejsza pomoc i opieka wzajemna.

W tak złączonej ze sobą i serdecznemi węzłami związanej rodzinie, utrzymuje się rzecz piękna i cenna: tradycja rodzinna, to znaczy dawny dobry obyczaj, pamięć o przodkach swoich, cześć dla tych, co już odeszli, wspólne poczucie godności, honoru rodziny. Takiej tradycji i wspomnień byle co nie podważy i nie zrujnuje. Widzimy, że te rody, co zdawna na jednem miejscu osiadły, szczególnie na wsi, gdzie życie jest spokojniejsze, szanują i utrzymują ów dawny obyczaj; gdy tymczasem te, co zmieniają miejsce pobytu i zatracają między sobą łączność braterską — tracą nieraz prędko tradycje rodzinne, wyrzekają się dobrych nawyknień, a z niemi bardzo często — zatracają moralność i religję: i widzi się wtedy, że rodziny takie upadają, rozpraszają się i giną.

Może ktokolwiek, co czytać będzie te słowa, uzna je za prawdziwe, lecz tego niedość: trzeba we własnem życiu codziennem, we własnej rodzinie, nieustanne czynić wysiłki, aby ta łączność pomiędzy członkami rodziny nie ustawała. Nie jest to zawsze łatwe i nieraz wiele ofiar kosztować nas będzie; obowiązkiem jednak naszym jest starać się o utrzymanie zgody w rodzinie bliższej i dalszej, aby bliskim swoim okazywać dużo serca, życzliwości, wyrozumienia i pomocy pod każdym względem. Ci, co odgradzają się od rodziny jakby chińskim murem, obawiając się, by czasem nie przyszło ująć trochę sobie dla którego z jej członków, źle robią i — kto wie — czy sami kiedyś na to gorzko nie zapłaczą, w osamotnieniu lub opuszczeniu od swoich bliskich...

Bywa też czasem, że wśród krewnych niema dobrych stosunków spowodu jakiegoś nieporozumienia, to znów spowodu jakiegoś złośliwego słowa obmowy, lub uprzedzenia — chodzi zaś o to, aby ten zły nastrój upadł, aby wobec naszego szczerego i życzliwego postępowania — zginął, rozpadł się doszczętnie w gruzy! Uczyńmy więc to, co od nas samych w danym wypadku zależy: nie podtrzymujmy rozdrażnienia ani niechęci, łagodźmy i przyczyniajmy się do zgody. Głównie zaś — módlmy się o pomoc Bożą dla każdego z członków naszej rodziny, a szczególnie za zbłąkanych i grzesznych.

„Miłość bliźniego obowiązuje nas wobec wszystkich ludzi. Jednakże może ona i powinna mieć stopnie. Im ktoś nam jest bliższy z przyrodzenia, tem większa należy mu się miłość. Jest — to porządek miłości, wypływający z samej natury człowieka, nadanej mu przez Stwórcę." (Dr. Z. Włodkowa — „Zjednoczenie" — maj, 1936 r.)

Fidelis.

ODWIEDZAMY CHOREGO

Jakżeż piękny jest zwyczaj odwiedzania chorych Zwyczaj, który płynie z chrześcijańskiej zasady miłości bliźniego. Niestety niezawsze miłość kieruje ludzi ku łóżku chorego. Często odwiedzają znajomi chorego z prostej ciekawości — ot, by zobaczyć, jak wygląda, czy mu jeszcze daleko do śmierci. Inni przychodzą do chorego, bo taki jest zwyczaj, niech rodzina widzi ich dobre serce. A zdarza się nawet, że odwiedzają chorego, aby w porę rozejrzeć się za tem, co chory po śmierci zostawi. Takie odwiedziny nie przyniosą choremu ani radości ani pocieszenia. Ale i wtedy kiedy do chorego idziemy z miłością i współczującem sercem, niezawsze chory ma z tego pociechę. Niech nami kieruje miłość — ale wraz z rozumem!

Kiedy nie wolno wogóle odwiedzać chorych? Nie wolno odwiedzać chorych na choroby zakaźne jak: szkarlatyna, tyfus, dyfterja, róża, koklusz, ostra gruźlica (suchoty), czerwonka (dysenterja). Nie odwiedzamy też chorych odrazu po operacji, ani kobiet tuż po urodzeniu dziecka. Jakże często zdarza się, że po szczęśliwym porodzie kobieta wkrótce umiera na zakażenie, na grypę, albo na zapalenie płuc. Jakże często śmierć tej kobiecie przyniosła serdeczna sąsiadka, która nie chciała kilku dni odczekać ale natychmiast po porodzie musiała do chorej przybiec, nie wiedząc, że niby wyleczona z grypy nosiła w sobie zarazki choroby. Nie można odwiedzać chorych, mając małe dzieci w domu. Nieraz słyszy się, jak ktoś się chwali, że chodził do chorego, witał się z nim i jednak nie zaraził się, a więc pewno niema żadnego zakażania się, a więc to wymysły tylko o przenoszeniu się choroby z jednej osoby na drugą... Tak, to prawda, zdarza się, że odwiedzający nie zarazi się sam, bo na tę właśnie chorobę jest odporny, ale jednocześnie przynosi chorobę do swego domu, dla swoich dzieci, dla rodziny, i nie wie, że jest winien nieraz śmierci ukochanej osoby. Pamiętajmy także, że nigdy choroba nie objawia się natychmiast po zakażeniu. Nieraz człowiek nosi w sobie tygodniami zarazki chorobowe nim się rozchoruje, nic też dziwnego, że potem nie wie, skąd się jego choroba wzięła. Rodzina chorego musi więc okazać często stanowczość, żeby nie dopuścić do chorego odwiedzających. Lepiej niech się na nas obrazi, odprawiona od drzwi sąsiadka, niżby miało się po wizycie pogorszyć choremu, albo gdyby po tygodniu miały zachorować dzieci owej uprzejmej sąsiadki.

A teraz o samych odwiedzinach. Nie możemy przychodzić do chorego całą gromadą, ale najwyżej po dwie osoby. Witajmy chorego serdecznemi słowami, ale nie całujmy się nawet z serdeczną przyjaciółką, bo to choremu niepotrzebne, a dla zdrowych często szkodliwe. W pokoju chorego powinny stać krzesełka, aby odwiedzający nie siadali na łóżku.

O czem mówić z chorym? Przedewszystkiem pytamy go o zdrowie, a potem staramy się opowiedzieć choremu o czemś miłem, co go może rozweselić chociaż na chwilę. Niestety, chociaż niby wszyscy wiedzą, że nie powinno się martwić ani denerwować chorych, jakież są rozmowy przy łóżku chorego... Mówi się o chorobach, o śmierci, o strasznych wypadkach, o kryzysie i innych smutnych sprawach. Mówi się też często o chorym, że źle wygląda, że bardzo schudł, że zestarzał się w chorobie i że nie wiadomo, czy lata dożyje... Nic dziwnego, że po takich odwiedzinach chory dostaje gorączki, nie chce jeść, nie chce brać lekarstw i traci zupełnie nadzieję wyzdrowienia. Przecież nawet najzdrowszy człowiek straci ochotę do pracy i do jedzenia jak mu powiedzą, że zbrzydł, że się postarzał, że tak źle wygląda... A przecież chory całe dnie rozmyśla o swojej chorobie, o swoim wyglądzie i czeka na wyzdrowienie. Jakże może wyzdrowieć, jeżeli naszemi nieostrożnemi słowami odebraliśmy mu jego nadzieję? Cóż pomogą nawet drogie lekarstwa, jeżeli nie wierzy już, że mu one pomogą?

Po krótkiej, miłej dla chorego rozmowie, odchodzimy, chociaż nam się wydaje, że chory pragnie naszego towarzystwa, ale pamiętajmy, że nawet krótka rozmowa męczy chorego. I tu też rodzina musi nieraz przypomnieć, że już późno, że trzeba skończyć odwiedziny. Odwiedzający bardzo często przynoszą choremu kwiaty, owoce albo inne przysmaki. Chory uradowany podarunkiem, częstuje swych gości i sam z nimi je. Tego robić nie wolno! Tylko opieka domowa wie, jakie potrawy można podawać choremu. Jeżeli więc nie chcemy, żeby przez nasze ciastka albo pomarańcze choremu się pogorszyło, oddajmy przyniesione przysmaki rodzinie chorego, aby według polecenia lekarza mogła coś z tego dla chorego przygotować. Również, gdy odwiedzamy chorych w szpitalu, pamiętajmy, że często nieszczęście sprowadzić możemy jednym kawałkiem kiszki albo butelką lemoniady, które pokryjomu przynosimy choremu. I chociaż chory skarży się nieraz na skąpe jedzenie, nie wolno go dokarmiać bez pozwolenia lekarza. Przecież szpital daje choremu pożywienie delikatne i nieraz skąpe nie z oszczędności, ale ze względu na chorobę.

Idąc w odwiedziny do chorego, pamiętajmy, że obowiązkiem naszym przedewszystkiem dodać choremu otuchy do znoszenia cierpienia i dlatego więcej znaczy dobre słowo i miły uśmiech, niż drogie podarki.

Lekarka.

JAK NISZCZYĆ KURZ

Od najdawniejszych czasów troszczyły się zawsze kobiety o utrzymanie czystości i ładu w mieszkaniach — lecz z biegiem czasu, coraz lepiej i rozumniej to pojmowały i wykonywały w miarę, gdy dzięki szerzącej się wiedzy nauczyły się czemu i jak mają tak a nie inaczej postępować.

W naszych już czasach powstały instytucje, które badają jak najłatwiej i najkorzystniej należy wykonywać pracę domową. Są to szkoły gospodarstwa domowego.

Dzięki nim nie potrzebujemy poprzestawać tylko na radach, starszych od nas, gospodyń — radach czasem mylnych, lub nie zupełnie dokładnych, lecz możemy otrzymywać szczegółowe i sumiennie opracowane wskazówki w każdej sprawie, dotyczącej gospodarstwa domowego.

Dziś pragnę zapoznać czytelniczki „Gazety" ze wskazaniami, jak należy sprzątać codzień mieszkanie, gdyż wiem z własnego doświadczenia, że wiele z tych rad będzie dla nas nowością. Nowość ta dotyczyć będzie i kolejności sprzątania i sposobu wykonywania, tak prostych pozornie, czynności, jak wycieranie kurzu.

Sprzątanie polega przedewszystkiem na walce z kurzem, będącym siedliskiem zarazków, które w naszych organizmach stają się zarodkiem niejednej choroby zakaźnej, czasem błahej, bez dokuczliwej, jak katar, ale nieraz poważnej i groźnej w skutkach, jak gruźlica i inne.

O tej to walce z kurzem będzie dziś mowa.

Pamiętajmy zawsze, że kurz trzeba uchwycić, unieszkodliwić, a nie przenosić z jednego miejsca na inne.

Gdy zamiatamy na sucho, gdy trzepiemy na podwórzu dywany, lub miękkie sprzęty, gdy suchą ściereczką zmiatamy pył z powierzchni mebli — kurz wznosi się do góry, osiadając na przedmiotach wyżej położonych a także na naszem ubraniu i na naszej skórze. Przenika również do dróg oddechowych, umieszczając w nich różne zarazki. Resztki zaś kurzu opadają wdół, stając się przyczyną pozornej bezowocności naszej pracy. Ileż to razy biadamy: dopiero co kurz wytarłam i znów pełno go na meblach".

Jakżeż więc trzeba kurz uchwycić? Oto zachowując właściwą kolejność sprzątania i używając odpowiednich przyrządów.

Kolejność sprzątania uległa ostatnio zmianie. Nie tak dawno jeszcze temu, najprzód zamiatało się pokój, potem ścierało kurz z mebli, a wkońcu suknami zbierało go z podłogi. Dziś robimy inaczej: najprzód zbieramy kurz z mebli, oczyszczamy i zwijamy dywany, podnosimy do góry końce firanek, wymiatamy z pod mebli, zamiatamy środek pokoju, zbieramy śmiecie na śmietniczkę i przecieramy podłogę suknami dla nadania jej połysku.

Jak widzimy, różnica polega na tem, że najprzód trzeba usunąć kurz z mebli, a potem zamieść podłogę, w taki oczywiście sposób, by pyłu z niej nie wzbić w powierze.

Chwytamy więc kurz z mebli przy pomocy ścierki chropowatej, bo z miękkiej kurz się zsuwa, i nie za dużej, by końcami swemi kurzu nie rozrzucała. Przed użyciem trzeba ją złożyć rogami do środka, oraz zwilżyć specjalnym płynem nieszkodliwym dla politury. Wygodniejszą od ścierki jest rękawica włochata, a do mebli rzeźbionych włochata szczotka, nie zaś piórka na kiju, które tylko roznoszą kurz po całem mieszkaniu

Wycierając sprzęty, najpierw należy oczyścić z kurzu te części, które stykają się z naszem ubraniem, inaczej kurz do niego przylgnie. Powierzchnie pionowe — a więc boki sprzętów — trzeba wycierać z dołu do góry, w przeciwnym razie kurz opadnie nam na nogi.

Aby uchwycić kurz z miękkich mebli, trzeba koniecznie trzepać je poprzez wilgotny płat lniany, np. przez stare prześcieradło, aby kurz miał na czem osiąść. Wówczas możemy nie wynosić z pokoju cięższych mebli, jak kanapy i fotele.

By uchwycić kurz z podłogi, należy za każdym razem okręcić szczotkę czystym wilgotnym płatem, który przepieramy zaraz po użyciu. Do zwilżenia płata używamy albo specjalnego płynu, albo nawet wodę, którą jednak trzeba bardzo mocno wyżąć. Wówczas posadzka nic od wilgoci nie ucierpi.

Do sufitu służy wreszcie szczotka włochata, na długim kiju, której cześć miękka, zrobiona z włókien bawełny, daje się odłączyć od oprawy i wyprać po każdem użyciu.

Jak widzimy, niszczenie kurzu polega zawsze na uchwyceniu go przez wilgotną ścierkę i „utopieniu" go w wodzie w czasie prania ścierki natychmiast po ukończeniu porządków. — Tymczasem dotychczas jeszcze wytrząsamy kurz na podwórza, nierzadko i na schody, a protesty osób, które przy tej okazji zostają obsypane kurzem — nierzadko spotykają się z bardzo niegrzeczną odprawą. Tak to niesłusznie. Trzymamy się starych przyzwyczajeń, szkodząc i sobie i innym.

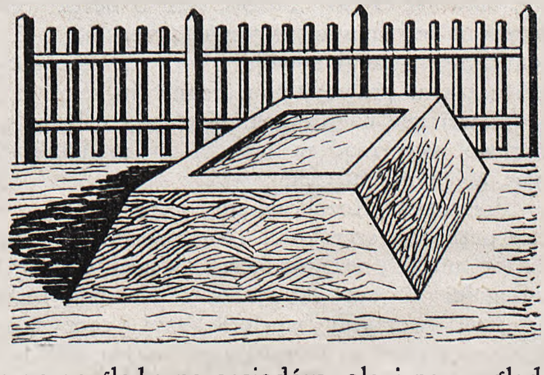
Janina Ezupowicz.

Jak można ulepszać ziemię?

KOMPOST.

Wyraz kompost pochodzi tak samo jak kompot od łacińskiego wyrazu „compositum" to znaczy złożony, tylko z większą słusznością. Kompoty bowiem przyrządzamy najczęściej tylko z jednego gatunku owocu, a kompost jest naprawdę bardzo złożony.

Jest to w ogrodzie skarbonka, do której składa się wszystkie odpadki z ogrodu, z wyjątkiem roślin chorych lub napadniętych przez szkodniki, ale i te należy spalić i w postaci popiołu dać też na kompost. Składa się tam też wszystkie odpadki z kuchni z wyjątkiem szkła, porcelany i popiołu z węgla kamiennego. Wylewa się tam mydliny, pomyje, nawet nawóz ludzki, nie mówiąc o nawozie zwierzęcym, którego trzeba od czasu do czasu dać pewną ilość na kompost, jeżeli ten kompost ma być w przyszłości dla roślin istotnie posilny. Nawozy wszelkie a szczególnie ludzkie, należy przykrywać ziemią i przysypywać wapnem. Wapna nie trzeba żałować do kompostu — ażeby uniknąć wydzielania zapachów. Zły zapach to — ulatniające się gazy, wraz z którymi ulatniają w powietrze najistotniejsze, najpożywniejsze części nawozu czy kompostu.



Nietylko tedy ze względu na sąsiadów, ale i ze względu na swoją kieszeń, ze względu na dobro swojego ogródka trzeba pilnować aby nie było złego zapachu. — Miejsce przeznaczone na kompost, dzielimy na po-

łowę, i składamy wszystko tylko na jednej połowie. Kiedy stos osięgnie wysokość 1 m 25 cm trzeba go przełożyć na drugą połowę miejsca, przeznaczonego na kompost, przysypując ziemią i wapnem. Trzeba go wówczas ułożyć w kształcie skrzyni do góry dnem przewróconej, o powierzchni górnej zaklęśniałej, tak aby woda lub mydliny, któremi będziemy polewać kompost nie ściekały po bokach a wsiąkały do środka. Na jesieni trzeba kompost przełożyć jeszcze raz. W zimie dobrze jest zmarznięte bryły kompostu rozrąbać, aby mróz wnikał głębiej. Kompost pielęgnowany, aby nie wysychał i przełożony dwa do trzech razy, może być po jednym roku zdatnym do użytku. Bardzo ważnym jest zakładać komposty w miejscu ocienionem.

Bardzo dobrze ulepsza glebę tak zwana ziemia inspektowa. Jest to ziemia powstała z ziemi i gnoju inspektowego. Nawóz ten składa się jesienią na kompost i od czasu do czasu przerabia widłami, aby dopuścić powietrze, które przyśpiesza rozkład. W braku inspektu, ziemię tego rodzaju przygotowujemy z nawozu końskiego lub krowiego, składając go na kompost, polewając wodą, i przerabiając od czasu do czasu. Kompost powinien być zawsze umiarkowanie wilgotny. W ten sposób sporządzana ziemia, będzie gotowa do użytku po dwóch latach. Ziemia inspektowa jest ziemią bardzo pożywną i pulchną i zmieszana z piaskiem nadaje się najlepiej pod wszystkie kwiaty.

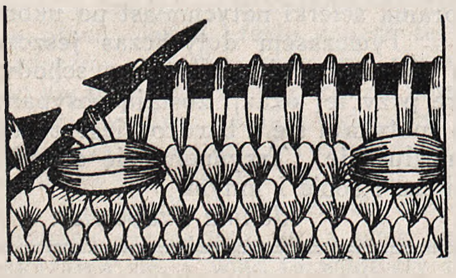
Można też do ziemi posiadającej za mało próchnicy, dodawać tak zwaną ziemię l i ś c i o w ą. Przyrządza się ją ze złożonych na jeden stos liści, które po paru miesiącach zamieniają się w jednolitą masę.

A. Dąbska.

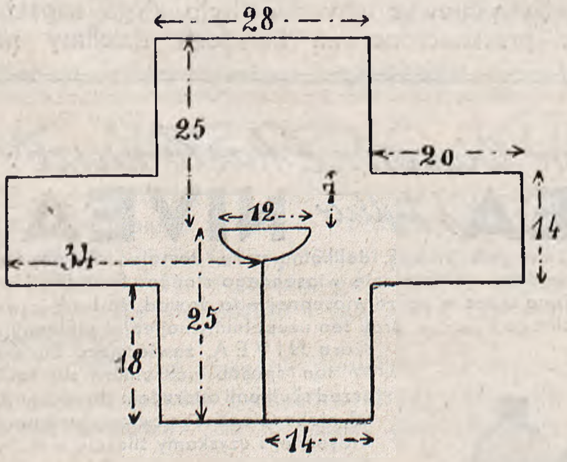
Komplet dla dziecka

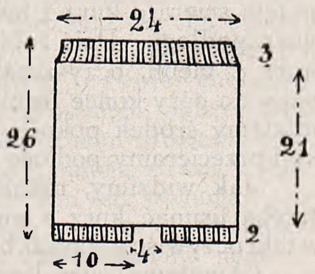
Potrzeba: 200 g wełny o 4 nitkach i 2 igły grubości 3 mm.

Ściegi użyte: 1-szy ścieg prążkowany 2 i 2 to znaczy: 1-szy rząd: 2 oczka w prawo, 2 oczka w lewo i t. d. 2-gi rząd: 2 oczka w lewo, 2 oczka w prawo, zmieniając kolejność. Te dwa rzędy się powtarzają dalej w tym samym porządku. 2-gi ścieg w muszki: 1-szy rząd w prawo; 2-gi rząd w lewo; 3-ci rząd: 5 oczek w prawo — wziąć igłę dość grubą, spuścić 3 oczka na tę igłę i kładąc ją do przodu roboty, nawinąć 3 razy dokoła tych 3 oczek wełnę, przełożyć włóczkę w ten sposób, aby móc przerobić te 3 oczka na igle dodatkowej; przerabiamy je w prawo. Następnie robimy dalej 5 oczek w prawo i powtarzamy to samo z 3 oczkami na dodatkowej igle co 5 oczek. 4-ty rząd cały w lewo, 5-ty rząd w prawo, 6-ty rząd w lewo, 7-my rząd tak jak 3-ci, zmieniając kolejność muszek.



Płaszczyk: Rozpoczynamy jedną stroną przodu. Nabieramy oczka na szerokości 14 centymetrów i pracujemy ściegiem w muszki na wysokości 18 centym. Dodajemy oczka w długości 20 cm na rękaw i pracujemy równo na 3 cm. Następnie tworzymy wycięcie szyi, zaczynając od środka przodu. Spuszczamy 6 oczek przy 1-szym rzędzie i 2 oczka przy następnych rzędach. Na wysokości 25 cm przerywamy robotę, by zrobić w ten sam sposób drugą stronę przodu. Te dwie części roboty łączymy, dodając między niemi 12 cm oczek, aby odzyskać pierwotną szerokość. Pracujemy na wszystkich tych oczkach na wysokości 7 cm i zakończamy oczka na szerokości 20 cm przy obydwóch końcach igły. Następnie pracujemy na pozostałych 28 cm na wysokości 18 cm i zakończamy oczka. Plecy i przód spajamy szwem obrzucanym po lewej stronie, wzdłuż boków i rękawów. Kołnierzyk i mankieciki są z białej piki.





Spodenki: Przód i tył są zupełnie jednakie. Zaczynamy od góry, nabierając oczka na 24 cm szerokości; robimy ścieg prążkowany 2 i 2 na wysokości 3 cm, dalej pracujemy równo ściegiem w muszki, na wysokości 21 cm. Wtedy zakończamy oczka na 4 cm w środku, pozostawiając na obydwóch końcach po 10 cm. Robota jest podzielona: robimy każdą stronę osobno, ściegiem prążkowanym na wysokości 2 cm. Po skończeniu drugiej zupełnie takiej samej części, łączymy je ściegiem obrzucanym, zostawiając u góry otwór potrzebny i przyszywamy 1 lub 2 guziki wedle upodobania.



M. K.

Abonament roczny dla członków K. S. K. pojedyńczo wraz z przesyłką pocztową . . . . . . 2.00 zł. Telefon nr. 15-27

Abonament roczny dla członków K. S. K. przez oddział (grupowo) zł 1.80 Konto P. K. O. 210 368

Wydawca: Katolicki Związek Kobiet w Poznaniu. Za redakcję: Zofja Sicińska i Janina Kaźmierska. Adres redakcji: Gazeta dla Kobiet, Poznań, Aleje Marcinkowskiego 1. — Tłoczono w Drukarni i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu, na papierze z własnej fabryki „Malta".